

Piotr Chmielowski

"Chimera : miesięcznik poświęcony sztuce i literaturze", T. I-VI, 1902-1903 : [recenzja]

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 3/1/4, 330-340

1904

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

kwiczówny i Lipinera) — A. Mazanowskiego. Jeszcze w r. 1884 w »Przewodn. Nauk. Liter.«. wyraził on przypuszczenie iż »dzieje męża o trzech obliczach itp. to historya Polski w przyszłości«. (Zob. u Krzyszkowskiego str. 36—7). Nie mając pod ręką rocznika wspomnianego pisma nie możemy sprawdzić, w jaki sposób myśl swą p. Maz. rozwinął. Ze streszczenia wszelako widzimy, iż ostatecznie idzie za Cybulskim i sądzi, że dziecię co uszło to może sam Mickiewicz... Bądź co bądź rzucona myśl jest w ten sposób powtórzona u Krzyszkowskiego, iż dziwić się można, dlaczego p. Niem. ten głos pominął milczeniem. Wszak pogląd, że Mickiewicz i w drugiej części widzenia rozwija tę samą ideę mesyaniczną, co w pierwszej, już był dawniej, acz warunkowo wyrażony.

Antoni Drogoszewski.

Chimera. Miesięcznik poświęcony sztuce i literaturze pod redakcją Zenona Przesmyckiego. Warszawa 1902—3 T. I—VI. *)

Z olimpijskim spokojem, z niewzruszoną pewnością siebie i z arystokratyczną dumą zamyka Zenon Przesmycki (Miriam) szósty tom wspaniale wydawanej przez siebie od r. 1901. »Chimery, jako świątyni szczerzego, zbożnego, gorącego kultu dla sztuki, do wyżyn dążącej absolutnych«.

Co obiecał w prospekcie, tego dotrzymał, jakkowiek nie w przyrzeczonej przeciągu czasu, bo dwakroć dłuższym, przekładając utratę niecierpliwych prenumeratorów nad uchybienie przez się ideałowi dobrze redagowanego czasopisma. Niezmordowanie bowiem poszukując »najwyższych objawów piękna, najwyższych porywów ducha«, wędrował po wszystkich czasach i krajach, by z nich wydobyć prawdziwe klejnoty i czytelnikom je ukazać; nie chciał znać podziału na starych i młodych, nie chciał hołdować poszczególnym szkołom i kierunkom, nie chciał głosić ciasnych doktryn i formuł.

Wypierał się też stanowczo przynależności do dekadentów, secesjonistów czy modernistów. Pomieścił cięty artykuł (III. 477—482¹) przeciwko artystom udawaczom, tym »obrotnym rzemieślnikom, żądnym popularności, a chcącym użycia, dla których wyrocznią jest dzień dzisiejszy, a muzą — Venus vulgivağa«; przeciwko artystom frazeologom, którzy całą energię swoją wyładowują w gorączkowo — namiętnych frazesach, wielbiąc zrana spokojnych posągowych Hellenów, po

*) Recenzja ta jest ostatnią pracą, jaka z pod pióra prof. P. Chmielowskiego wyszła. (P.R.)

¹) Cyfry w nawiasach oznaczają tomy i stronicie »Chimery« od r. 1901 do 1903 włącznie.

obiedzie — przeczulonych i subtelnie zmysłowych prerafaELITÓW, po winie — Ropsa, po likierach — Przybyszewskiego ; — przeciwko estetyzm salonowym wogóle, »głęboko przekonanych, że muzy ze szczególną lubością usługują sytym, próżnym i wykwintnym nazewnątrz« ; — przeciw kobietom, — co na ten tonik artyzmu nastroiły swe nerwy seksualne«...

A napiętnowawszy dotkliwie tych fałszywych braci i te siostry w artyzmie, wołał do nich: »Tak, przyjaciele nasi, słowa nas nie powiążą, zwłaszcza tak wytarte, jak secesya i modernizm. Połączyć nas może tylko sztuka — ta jedyna i wieczna, co nie zna kierunków i haseł, lecz tylko tworzącą moc i głębię artysty, który na niej swoje piętno wyciska, — sztuka, poczynająca się nie z prądów dzisiejszego dnia, lecz z twórczej potrzeby jednostki, sięgającej w głąb jej duszy po indywidualne źródło poezji artyzmu, sztuka dojrzewająca w samotności, bez której twórcy niema, i przy rzetelnych darach rzetelną wypowiadająca się pracą. Więc w pracy tylko spotkać się możemy, po jej owocach poznać się i ocenić wzajemnie«.

To wzniosłe, uroczyste pojęcie poezji i sztuki, to jednoczenie natchnienia i pracy, to dążenie do szczytów najwyższych doskonałości odbiło się nie tylko w artykułach samego Miriama, lecz także w doborze rozpraw czy utworów pisanych lub tłumaczonych przez współpracowników. »Inercya cielesna mas i eleuteryzm duchowy genialnych wyjątków« (I, 10) wszędzie są tu przeciwstawione sobie, a stąd wyprowadzony dumny lecz słuszny wniosek, że nie zniżać się do nas, ale je podnosić, nie wchodzić z nimi w układy, ale je opanować potrzeba.

Ponieważ w czasach dzisiejszych, w dziedzinie duchowej panuje »zamęt i bezmyślność« (I, 312); ponieważ »najuporczywszą z arogancyi jest arogancya nic o ś c i«, (II. 321); ponieważ wiek XIX., mianowicie jego schyłek, to »wiek zrzeczenia się ludzkiej godności« ; ponieważ cechą tego stulecia był »stały, coraz gwałtowniejszy opad ducha, rosnąca nieustannie i pod koniec wprost już zastraszająca nienawiść do wszystkich rzeczy wiekuistych, nie mieszczących się w granicach zmysłowego, ziemskiego poznania i życia« (I, 314); ponieważ rozpanoszył się w nim, jak powiada Nietzsche, »półświatek ducha, czytający tylko dzienniki« ; więc dla prawdziwego czciciela sztuki wielkiej, nie sztuki — zabawki, niema wśród zabiegów i zgiełku świata ani pożądaney ostoi, ani materyału do obrazu; musi zatem czerpać tworzywa z głębi duszy własnej.

Bo w istocie cóż on znajdzie w tym świecie? »Nikt dziś prawie nie żyje, nie czuje, nie myśli dla siebie, dla zgłębienia, rozszerzenia i podniesienia własnej duszy. Wszystko mówi się i robi na pokaz, dla zdobycia bądź zysku bezpośredniego, bądź karyery, bądź popularności taniej... Trudno znaleźć dzisiaj człowieka z trochę milezenia, wrażliwości i cichego a gorącego zapału. Naogół zgiełk tylko przecinających wszystkie kwestye a próżnych treści głosów« (I, 331). Wobec tego jakże myśleć o rzeczach wiekuistych, jakże odczuwać nieskończoność, jak tworzyć dzieła nieśmiertelne?...

Poszukując przyczyn tak smutnego stanu rzeczy, dostrzega je Miriam przeważnie w idei demokratycznej, a jak on się wyraża »ochłokratycznej«
równości, a więc w zaprzepaszczeniu pojęcia i uznania »wszelkiej hierarchii«.

Wiadomo, że artyści i poeci od wiek wieków jawnymi byli wrogami pospółstwa, motłochu, który ich zrozumieć i ocenić nie mógł. Horacyuszowe »odi profanum vulgus et arceo« — rozbrzmiewało przez wszystkie stulecia, lubo przybierało różnorodny strój w wyrażeniu. i gdy idzie o oznaczenie stosunku wielkich natchnień do pospolitości i miałkości pojęć, powszechny obieg w danym czasie mających, niepodobna oczywiście nie stanąć po stronie artystów, jeżeli naprawdę nam idzie o podniesienie, uszlachetnienie, udoskonalenie, uduchowanie ludzi, o przemianę prostych »zjadaczy chleba« w aniołów...

W takim rozumieniu zgodzić się można na myśl, choć nie na słowa następnego wywodu Miriama :

»Zrobiwszy ideałem człowieka — mierność (zwaną też przeciętnością czy normalnością?), wzięliśmy ją za miarę i wszystko, co pod strychulec jej zmieścić się nie chce i nie może, napiętnowaliśmy mianem szaleństwa, chorobliwości, zwyrodnienia, lub innemi, niegdyś poświętnemi a dziś obelżywemi nazwami: mistycyzmu, symbolizmu itp. Mit, legendę wreszcie, które ongi, w braku świadomego uznania, otaczały bądźcobądź tych największych i eo ipso najbardziej niedostępnych, atmosferą jakiejś trwogi świętej, będącej inną jeno formą entuzjazmu, zastąpiliśmy gazetą, jej anegdotami czy interviewami i znieważaniem lub poufałym klepaniem po ramieniu olbrzymów ducha, (I. 11) gdy przecież dla rozumienia wielkich twórców potrzeba współpracy wórczej widza lub czytelnika«.

Lecz godząc się na tę charakterystykę stosunków obecnych, nie tmożna wraz z Miriamem widzieć źródła tej przerażającej zniżki ideałów w wynikach rewolucji francuskiej i... w przymusie szkolnym. Tutaj uległ nasz autor, skądinąd tak rozważny, wpływowi słownemu tych paradoksalnych pisarzy zagranicznych (mimowiednie wskrzeszając tradycję arystokratyczno-wstecznych wyskoków Henryka hr. Rzewuskiego), którzy zapomniawszy o faktach wszelkich, prócz jednego, tj. prócz faktu oglądy towarzyskiej, form wykwintnych i popierania sztuki przez arystokrację francuską, stali się jej wielbicielami i zaczęli ją przeciwstawiać brutalnej arogancji i brutalnemu częstokroć postępowaniu z bogatego i nie-wykształconego mieszczaństwa.

Nie chcą oni pamiętać, że owi arystokraci nie tylko drwili z pisarków (ba, z rzetelnych i wielkich talentów), lecz ich przy sposobności kazali lokajom swoim policzkować — i pełni entuzjazmu dla tego, co już nie istnieje, nie dbając o prawdę dziejową, mają tylko na oku ponizienie chwili sobie współczesnej, której niedogodności odczuwają całem wysubtelnieniem duszy, jaka właśnie od czasów rewolucji francuskiej, od czasów ogłoszenia »praw człowieka«, od czasów poczucia godności ludzkiej w całej pełni rozwijać się i potęgować zaczęła.

To też w wykładzie skutków rewolucji francuskiej, podanej przez Miriama, przy każdym prawie punkcie stawiać trzeba pytańki. Pomi-

nać go niepodobna, bo jest zbyt znamienym dla całego głoszonego tu »arystokratyzmu sztuki«, ale poddawać go szczegółowej krytyce uważam za rzecz zbyteczną, bo chociaż w pierwszym zapale Miriam wystąpił w jego obronie, gdy się pojawiły ostre krytyki; to później przecież ochłodźszy, odrzucił, jak się zdaje, mniemania jednostronne; — prawdopodobnie uprzytomnił sobie tę prawdę, że wśród swej kulturalnej arystokracji francuskiej nie mógłby swojej »Chimery« wydawać, bo byłby narażony na daleko dotliwsze, niż dzisiaj, napady, a ten i ów zeszyt byłby ręką kata publicznie spalony; — jeżeli dzisiaj jeszcze wiersz Zeyera »Na Synaj« księży o bluźnierstwo oskarżyli. Dzisiaj mógł Miriam zarzucić księdzu nieuctwo i nierozumienie rzeczy, ale w XVIII wieku, kiedy »Emil« Rousseau'a nawet ulegał paleniu?!... Łatwo to wypowiedzieć frazę o wyższości kulturalnej czasów ubiegłych, lecz niełatwo chyba było żyć w tych czasach?...

Ale poznajmy wreszcie ten ustęp: Rewolucya francuska, — czytamy (I. 14) — stawiając zasadę równości i znosząc różnice klas, zniosła zarazem wysoką kulturę duchową stanów uprzywilejowanych, a nie dała jej stanom wyzwolonym; schłopiła szlachtę, a nie uszlachetniła ludu, skazując pierwszą na brutalną, cielesną walkę o byt, odebrała jej chęć, a z czasem i zdolność odczuwania głębokich, subtelnych rzeczy duchowych; pozbawiając drugi — prostoty, ciszy, elementarności pierwotnego człowieczeństwa, które pozwalało mu odczuwać, a czasem i wydawać wprost z siebie wielkie imperatywy Nietzschego, dała mu za to poziome jeno pragnienie wygodniejszego żywota, płaskie zazdrości i niechęć do wszystkich niepojętych mu uskrzydleni duszy. Stopniowy, coraz szerszy zalew demokracji prowadził dalej to dzieło — i stworzył wreszcie ze wszystkich klas i stanów jeden tłum, złożony zarówno z hrabiów i mieszczan, z plutokratów i rzemieślników, niekulturalny, niewrażliwy, niezdolny do odczucia rzeczy głębokich i przeto z pychą odrzucający je, żywiący nienawiść do wszelkich polotów, przeciwstawiający zuchwale materialną powierzchnię zdarzeń, którą naiwnie zwie życiem, ich istocie, które wzgardliwie mianuje marzeniem — wrogi tedy każdemu pięknu w wielkim stylu, każdej istotnie twórczej poezyi«.

Pomijając już znaczenie arystokracji francuskiej i jej kulturalności powieźcież muszę, że nie przemawiają mi do przekonania »wielkie imperatywy« Nietzschego, bo lada samolub może je po swojemu stosować i to z upoważnienia samegoż apostoła »wesołej wiedzy«; nie przemawia mi do przekonania »moralność panów«, bo jest ona równie jednostronną jak moralność pokory i zaprzania się; nie przemawia do przekonania ta pogarda tłumowi tak szeroko pojętego, jak w tym ustępie widzimy, bo pamiętam, że tylko dzięki temu tłumowi mogły się wytworzyć warunki istnienia genialnych dzisiejszych jednostek.

Natomiast podzielałam napiętnowanie wstrętu do uskrzydleni duszy, jak podzielałam określenie dążności poezyi, iż zmierzać powinna ku »nieskończoności« (I., 151). Tylko znowuż muszę poczynić tutaj pewne zastrzeżenia, ażeby tej dążności nie utożsamiać z treścią poezyi. Miriam już wprawdzie obecnie nie mówi z takim jak przed 10 laty (w przedmowie do dramatów Maeterlincka) naciskiem o symboli-

czności każdej wielkiej poezji, owszem bez dopisków pomieścił przekład artykułu Emersona (VI, 73—87), poddający dość ostrej krytyce używanie symbolów (str. 81). Co więcej dozwolił nawet w rubryce pod tytułem »Glossy« reprezentującej poglądy »trzynastki« redakcyjnej (Tredicim) pomieścić drwiące uwagi o coraz bardziej w niedorzeczność brnącym symbolizmie (VI, 299). Warto je tutaj przytoczyć, gdyż pochodzą z tej strony, która może najbardziej u nas cześć dla symbolizmu rozpowszechnić się starała.

»Do niedawna — mówią Glossy — wyczuwano wszędzie odeur de la femme; obecnie nawet nad kuryerkami unosi się odeur de l'éternité. Sprośne fauny poufała się z nieskończonością, baraniogłowe satyry stają na straży świętego Graala i wyciągają plugawe łapy po złote jabłka Hesperyd. Symbole, pełne wielkiej grozy i nieogarnionej tajemnicy, przechodząc z rąk do rąk jarmarcznych przekupniów, wytarły się, jak pieniądź, na którym ongi widniało wyobrażenie Króla—Ducha. Aby osiągnąć pozory oryginalności, rozluźnia się i rozwichrza złotogłowie najszlachetniejszych form poetyckich, mąci się niezdarne kryształne przezrocza prozy, wali się pięściami we wrota wieczności, — wrzeszczy się, zamiast mówić Dla szerszych kół czytelników ma to do złudzenia naśladować żywiołową bujność, tudzież nieokiełznaną moc twórczego ducha«.

Protest całkiem uzasadniony, tak jak uzasadnionem jest twierdzenie, że »niemasz nowej sztuki, są tylko nowe sposoby, nowe próby, nowe pragnienia odsłonięcia, pod nowym kątem, z nowej strony, wiecznie jednej, wszystko ogarniającej jedności bytu« (I. 319),

Ale zgadzając się i na ten protest przeciwko nadużywaniu i popolitowaniu symbolów, i na to nawet określenie zadania sztuki w jej najwyższej dążności, nie mogę przyklasnąć Miriamowi, gdy w szczególowszym wywodzie uszczupła ogromnie szeroko tutaj zakreślone widnokreśli i zapomina o własnej przestrodze, by szukać wciąż nowych sposobów odsłonięcia tajemnicy wiekuistej; — inaczej mówiąc, gdy najwyższą dążność sztuki utożsamiać się zdaje z jej poszczególnymi wytworami, z jej pomysłami, z jej treścią ustawicznie się mieniającą, bo z różnych stron i pod rozmaitymi kątami rozpatrywaną.

Miriam bowiem pragnie, aby poezya »uniwersalizowała indywidualność« (I. 152); — treścią poezyi musi być nierozzerwalna całość i jedność bytu, nie zaś pojedyncze, oderwane od całości zjawiska czy wrażenia, które jako nieistniejące w tem oderwaniu złudzeniem są próżnem« (I. 151).

Takie oznaczenie treści poezyi usuwałoby z jej zakresu nie tylko większość przepięknych pieśni lirycznych na poszczególnem wrażeniu czy uczuciu opartych, ale także większość twórców epiki i dramatu, zajmujących się zjawiskami konkretnymi, nie zaś uogólnieniami, mającymi na celu wykazanie »nierozzerwalnej całości i jedności bytu«. Takie oznaczenie treści poezyi nie jest rozszerzeniem, lecz ścięciem, uszczupleniem widnokręgów twórczych, bo je pozbawia obrazów żywo tętniącego jednostkowego życia, a każe się zamykać w obrę-

bach uogólnień, z natury swojej bardzo nielicznych, w których owe tętna do niedostrzegalnej maleją drobnosci. Takie oznaczenie treści poezyi uprawniałoby tylko rodzaj refleksyjno-filozoficzny, a wykluczałoby wszystkie inne, na plastyce obrazowania, na silnem lub subtelnem malowaniu uczuć, wzruszeń, namiętności oparte.

Że taki rodzaj odpowiada przyrodzonemu usposobieniu Miriama, to jeszcze nie powód, ażeby cała poezya »rzetelna i wielka« miała się do tego usposobienia stosować. Nie szkodziłoby mieć wciąż na pamięci rozumne słowa H. Taine'a: »znam granice swojego własnego umysłu, ale nie znam granic umysłu ludzkości«.

Owo odśłanianie »nierozzerwalnej całości i jedności bytu« ma się dokonywać na podstawie zgłębienia duszy własnej, bo »droga do ludzkości wiedzie przez duszę pojedynczego człowieka, a do tej ostatniej (germanizm!) przez duszę własną«; — nie doktryny, nie utopie społeczne, nie wiedza doświadczalna (jak niezbyt dawno łudzono się jeszcze) mogą dać nową treść i nowy wzlot poezyi, lecz niezmordowane wgłębianie się, w ciszy i samotności, we wnętrze własne, kędy śnią, oczekując wcielenia, nieprzemijających rzeczy pierwiastki« (II, 321).

Czemby było »wnętrze własne« każdego z nas, jeśliby wzrastał od urodzenia »w ciszy i samotności«, o tem nikt z ludzi najmniejszego nie może mieć pojęcia; a samo przypuszczenie takiego wzrastania »w ciszy i samotności« jest wprost niedorzecznem. Jeżeli zaś Miriam mówi o późniejszych dopiero (chronologicznie nieokreślonych) chwilach życia, kiedy już pewne pojęcia i poglądy zaszczerpiło życie we »wnętrze« nasze, to jakim sposobem dowiedzie, że w tem »wnętrzu« śnią »nieprzemijające pierwiastki rzeczy«, znikąd tam nie wniesione, lecz samorzutnie wylęte?

Przed 10 laty Miriam najtajniejsze nawet przejawy życia starał się tłumaczyć w sposób naukowy; dzisiaj zwątpił jeżeli nie o »nauce« wogóle to przynajmniej o »nauce doświadczalnej«, zapominając, że to właściwie nauka doświadczalna stwierdziła w sposób bardziej przekonujący niż dawniejsza metafizyka ową przeczuwaną tylko »nierozzerwalną całość i jedność bytu«, której ujęcie i odślonienie ma stanowić wyłączną »treść« poezyi. Bez jej wskazówek i bez żywiołów z życia czerpanych rozmyślająca »w ciszy i samotności« jednostka, choćby najbogaciej od natury obdarowana, mogłaby wprawdzie we »wnętrzu« własnem znaleźć dość siły, by nadać poezyi »wzlot nowy«, ale nie potrafiłaby w tym wzlocie nic innego rozwinąć pod względem treści prócz swoich uczuć i mrzonek, które mogłyby stać się zajmującymi zapewne, lecz treści rozległej i głębokiej zawrzeć-by nie zdołały.

Jeśli poeta oderwie się od nauki i życia, pogrążając się »w ciszy i samotności«, to musi przebywać wśród ograniczonej bądźcobądź dziedziny pomysłów jednostkowych, coraz to abstrakcyjniejszych, coraz to sztuczniej obrabianych, albo też tonąć w mgłach mistycznych, coraz to bardziej rozwiewnych i czezych. Dla takiego poety zasiłki wyćwiczonego nauką rozumu przestają istnieć, a pobudzające i wstrząsające dramaty życia ludzkiego, rozpatrywane nie drobnowidzowo, kiedy się mogą uka-

zywać istotnie jako »nędza trzechwymiarowa« (wyrażenie M. Komornickiej), nie pomijającego »trybun« ni »akropolów« (VI. 479) — lecz okiem orlem filozofa-poety, uszczuplają się strasznie.

»Cisza i samotność« są potrzebne, są nawet niezbędne dla poety, lecz na czas pewien tylko, kiedy ma się skupić, ześrodkować w sobie, by poczynione w świecie spostrzeżenia doprowadzić do porządku i starać się w nich dopatrzeć owej »nierozzerwalnej całości i jedności bytu«. Ale kiedy stan taki przemienia się na trwały, a zwłaszcza gdy poprzednio w życiu uzbierany zapas jest szczupły, to niewiele można oczekiwać od najtroskliwszego bodaj zatapiania się we »wnętrzu własnem«. Wówczas najczęściej zapanowuje tak lekceważona przez Verlaine'a (i powtarzającego za nim Przybyszewskiego, bez wymienienia źródła, jak zwykle) »literatura« tj. sztuczność i zdziwaczenie, zmanierowanie wyczerpującego się mózgu, bo się karmi własnem jeno wnętrzem.

Homer był ślepy, ale dopiero na starość, — przedtem miał niewątpliwie wzrok bystry i wierny, zwiedził dużo okolic, poznał umysły i obyczaje wielu plemion, jak jego Odysej, bo inaczej z »wnętrza własnego« nie wydałby pewnie tych plastycznych obrazów, którymi się do dziś dnia zachwycamy.

»Wgłębianie się we wnętrze własne«. Od iluż lat słyszymy dumne zapowiedzi cudownych skutków takiego wgłębiania się! Pójdę, popłynę, polecę, tajnie naturze wydrę, najgłębszą treść życia dobędę, zagadkę świata rozwiążę!... Same zwiastowania, ale za nimi nie idzie jakos wcielenie!

Jeszczeż niektórzy, ze starszego nieco pokolenia, czytują, i przy pomocy filozofii to i owo nam wieszczą, ale większość najmłodszych, pociągnięta pozorną łatwością dobywania skarbów z własnej duszy, przestała czytać — bo i poco zaśmiecąc sobie umysł cudzemi majaczeniami! — to umniejsza samodzielność!... Więc jak sroka w kość wpatrują się w »płytkie flukty« swojej biednej duszyczki i dostrzegłszy w niej same męty, męty, męty, zawodzą nieskończone lamentsy, lamentsy, lamentsy...

Odsłaniać »nierozzerwalną całość i jedność bytu« poza fenomenalnymi, przemijającymi szczegółami niewątpliwie wzniosłe stanowi zadanie ale trzeba przedewszystkiem znać te szczegóły, co w rodzinach na »trybunach« i »akropolach« się ujawniają, bo inaczej dreptać się będzie wciąż w kółku zakłętym.

Zresztą sam Miriam, zachowując w przeważnej drukowanych przez siebie utworów ów sprawdzian piękna wielkiej poezyi, nie ustrzegł się przecie pomieszczenia rzeczy słabszych, wcale nie uwydatniających owej »nierozzerwalnej całości i jedności bytu«, lecz ukazujących jeno ułamki tego bytu pod takim lub innym kątem widzenia. Obok »Próchna« Berenta, obok »Axela« Villiersa de l'Isle-Adam, obok »Krucyaty dziecięcej« Schwoba, obok poematów, poezyi lub rozmyślań Coleridge'a, Campa-mora, Baudelaire'a, Keatsa, Zeyera, Verlaine'a, Nietzschego, Kaspro-wicza i wielu innych, pomieścił przecież bardzo słabe i bardzo jednostronne na dowcip się sadzące, ale nie dowcipne wypracowania Andrzeja Gide'a (»Prometeusz źle spętany«, »Filoktet«). Nawet dramat

Grabbego (»Zart, satyra, ironia i głębsze znaczenie«) to nie tyle cięta, ile płasko-gruba satyra, gdzie najpospolitsze żarty i drwiny mięszają się z przeblyskami myśli niepowседневnej, gdzie koncepcje dziwaczne tylko chcą uchodzić za głębokie i piękne.

Przechwalenie pism Grabbego i Gide'a, dostrzeganie w nich głębi i subtelności nadzwyczajnej, poczytywanie sobie za zasługę wydobyć ich na jaw i pomieszczenie ich w Chimerze po polsku, — są dla mnie wymownymi dowodami owej »odrębności«, którą trzeba uznać za właściwość pewnej grupy jednostek, ale o której wolno i należy chyba wypowiedzieć własne też a odmienne zdanie, z owem przecenianiem niezgodne.

Do tejże kategorii słabych rzeczy pozwałam sobie zaliczyć wydobyte z pośmiertnej teki papiery Cypryana Norwida. Miriam uważa sobie za ogromną zasługę to ogłoszenie pism poety, którego bez wahania stawia na równi z Mickiewiczem, Słowackim i Krasińskim (VI. 450), wbrew znanej już nam zasadzie swojej o potrzebie »hierarchii« twierdząc, że »na tych wyżniach (? dlaczego) hierarchii ani pierwszeństw niema Miriamowi się zdaje, że on dopiero »o b d a r z y ł piśmiennictwo polskie k o l o s a l n ą j e g o p o s t a c i ą«.

Nie podobna uznać tego uroszczenia. Norwida znali ci, co się literaturą parali, wskazując go nawet jako zwiastuna nowych prądów, o ile te »sztuczność« ze sztuką zbyt ściśle łączyły. Miriam ogłaszając rękopiśmienną spuściznę, nie pomnożył jej wewnątrz, tylko zwiększył przeważnie ilość numerów bibliograficznych; bo wydrukował rzeczy, ciekawe jedynie pod względem szczegółów sztuki pisarskiej, które mogły najspokojniej i bez szkody dla poety pozostać w ukryciu, bo wykazują nam już tylko umysł zmanierowany zmanierowanego stylistę, gadatliwego w sposób najnieznośniejszy, bo nudny. Wydrukowanie zaś »Tajemnicy lorda Singelworth« (VI. 40—62) dowiodło raz jeszcze, że balwochwalstwo »sztuczności« jest zaraźliwe, że się szerzy nawet wśród najrozważniejszych, przytępiając poczucie smaku i zaciemniając jasność sądu. Rozpatrywanie papierków klozetowych pod kątem wieczności dla uwydatnienia nierozzerwalnej jedni bytu jest zajęciem godnym chyba tak lekceważonych, przez Miriam »dekadentów« i może odstręczyć od sztuki ludzi, którzy naprawdę kochają wielką sztukę, ale nie cierpią »sztuczności« i kabotyństwa, przebierającego się w szaty hieratyczne, tak samo jak nie cierpią kabotyństwa błazeńskiego i łobuzowskiego.

Ta sztuczność, to zamięłowanie w perfumach raczej niż w woniach naturalnych — z wyjątkiem oczywiście »Tajemnicy lorda Singelwortha! nawrót do stylu barokowego, do ciągłych conceptów słownych (con-cetti) strasznie naciąganych, przebija się także w doborze tematów, w doborze ozdób, które częstokroć innej nie mają zalety prócz tej, że są dziwaczne (b i z a r r e). I niekiedy wypada powiedzieć to, co Miriam wyrzekł o »Italii« Konopnickiej (II. 319), że »Chimera« robi wrażenie »misternej zresztą skrzynki, w której pomieszano bezładnie istotne klejnoty z uschlými kwiatami i kolorowanemi muszelkami«.

Takie mianowicie wrażenie sprawiają oceny powieści przez Własta i bajki Jana Lemańskiego.

Ażeby mieć wyobrażenie o tonie ocen Własta dość będzie paru dosłownych przytoczeń (bez skrótów). Oto np. co czytamy o »Legendzie« Sewera: Zawieszisty garus oportunistyczny nieskończoność i barszcz zabielały, sztuka nowa i pomada do smarowania; śmieszne charakteryzowanie rzeczy niewspółmiernych i czeza gadanina sporna albo znów pojednawcza. W motywach rozczulająca dychawiczność odmłodzonego fiksatuarem vieux beau, usiłującego sprostać w fantazyi i modzie nowemu pokoleniu dandysów«.

A oto zdanie o powieści C. Walewskiej: »Bez duszy«: »Tytuł nieniejszej fantazyi powieściowej jest jej najzwęższym określeniem i możnaby na niem poprzestać, gdyby nie wystawo wość okazu, który jest kwintesencją warszawszczyzny. Na podatnym gruncie wielomówności damskiej rozrosła się ona bujnie estetyzmem szwalni, dressczowością piernatów, demonicznością tucznych indyczek, mistycyzmem strachów na wróble, poezją fajerwerków, użyciem utrzymanek mniej więcej legalnych i dramatycznością sztuk ludowych«.

Czytając takie oceny, ze zdziwieniem przypominam sobie, że jesteśmy w »świątyni« sztuki wielkiej, wiekuiestej!

Nie znaczy to żebyśmy się wstawiali za elukubracyami lichemi, które się szerzą epidemicznie, owszem przyklaskujemy surowym, ale rozumnym słowom Miriama o wadach powieści naszej (III. 312—318); ale nie sądzimy, ażeby »zbożny kult sztuki« zalecał lub choćby uprawniał łobuzowskie raczej niż artystyczne znęcanie się nad autorami i autorkami, i to w sposób całkiem gołosłowny, stanowczy i nieodwołalny, tak jakby tylko sam Włast miał przywilej nieomyślności w sądach estetycznych. Miriam wymownie wystąpił przeciw nieomyślnym (II. 315—318), ale ani sobie, ani współpracownikom swoim nie wpoił tych złotych zasad, jakie do innego zastosował z taką stanowczością i bezwzględnością.

A bajki Lemańskiego? Miriam zaliczył jego talent do »pierwszorzędnych« (VI. 475). Czy i w jego utworach odzwierciedla się »nierozważalna ciągłość i jedność bytu«? Chyba nie. Są to rzeczy, jak się mówi, aktualne, po większej części polemiczne, dotyczące czyto nieprzyjaciół nowego prądu artystycznego, czy jakichś objawów społeczno-literackich, nie znajdujących aprobatę autora. Dążenia ku »nieskończoności« w nich niema, jeżeli ich rozwlekłość »nieskończoną« weźmiemy za nawias. Parę bajek Lemańskiego celuje istotnie dowcipem, ale są i takie, które się napraszały, żeby ich nie drukowano, zwłaszcza w piśmie poświęconem wielkiej sztuce. Do tego działu liczę jedną z najnowszych: »Mundus vult decipi« (V. 482—499), wymierzoną przeciwko artykułom kobiecym w sprawie wychowania panien. Nie zwążam na przedrwiwanie hasła »dobro ogółu«, bo sądzę, że autor drwił z niego tylko jako z płaszczyka interesów samolubnych, ale samo rozwinięcie rzeczy jest tak nużące, niesmaczne i niedowcipne (z wyjątkiem może 10 wierszy), iż ta długa gadanina mogłaby spółzawodniczyć z wywodami niejednej niemądrej... jałoszki, plotącej trzy po trzy o edukacyi cięłat. Podobnie rozwlekłą, niedowcipną a nawet wprost płaską jest rozwałko-

wana anegdota o »Lycoperdon giganteum« (VI. 281—296), wysmiewająca ziemian, kuryery, reporterów, dziennikarzy, literatów, a to wszystko z powodu olbrzymiej »purchawki«. Co było dobrego i mądrego do powiedzenia o jubileuszach, wystawach, ankietach, już sformułowano w innych zeszytach »Chimery« (I. V i VI).

Miriam w ocenie »Bajek« Lemańskiego (VI. 306—312), wydanych osobno, podziwia ich »magiczną moc ewokacyi«, zasadzając się na dwu pierwiastkach, spotykanych jeno »u najkapitałniejszych twórców w takiej harmonii«, to jest na »zdolności indywidualizowania najdrobniejszych szczegółów, chwytania ich oznak najcharakterystyczniejszych, najkonkretniej wyłącznych«, oraz na »syntetycznej wyobraźni poetyckiej, wyczuwającej związki ukryte zjawisk i umiejącej jednoczyć wszystko w całość żywą o perspektywach nieskończonych«. Formę tych bajek zowie »ściśłą i pierzchliwą zarazem, wyrazistą i falującą«. Być może, iż te zalety znajdują się w »Bajkach« owych osobno wydanych, nie znając ich, nie mogę wydawać sądu; ale w tych jakie pomieściła »Chimera«, dojrzałem niestety, jedynie niezbyt »ukryte związki« zjawisk bardzo powszednich, zabarwione złośliwością niewybredną, a w formie nie tylko »pierzchliwość« lecz także wielką rozbieżność. A co do gawęd prozą kreślonych, to odkryłem jeno perspektywę »nieskończonego« złego humoru, pogoń za pierzchającymi wciąż conceptami, falowanie stylu po nader płytkich brodach popolitości, z tem przekonaniem, że się mówi w sposób nowy i oryginalny.

Styl ten różni się rzeczywiście najzupełniej od jędrnej, zwartej, a zawsze namaszczonej dykeyi samego Miriama, który o rzeczach wielkich stara się mówić zawsze w sposób ich godny. Na uczyniony sobie zarzut napuszoneści, odpowiedział on: »Sztuka jest dla nas jedną z rzeczy najwyższych i najświętszych; mówić o niej umiemy i śmiemy jeno słowami świętymi, solennymi i pełnymi patosu, który nie jest pozą i nienaturalnością, lecz sprężeniem się uczucia aż do męki i rozkoszy zarazem! Napuszonemi przeto mogą się wydawać słowa nasze tylko ludziom nie uznającym hierachii, nie mającym żadnych świętości i przywykłym zdawna do mówienia o rzeczach najwyższych tym samym żargonem potocznym, który starczy zaledwie na podawanie wiadomości giełdowych lub wypadków ulicznych« (I. 148).

I rzeczywiście Miriam wiernym tej zasadzie pozostał we wszystkich swoich artykułach. Poczucia stylu nikt mu odmówić nie może; da się chyba tylko zaznaczyć, że pojęcie »hierachii« talentów ma on odrębne, sobie właściwe, jeśli tym samym stylem mówił o Słowackim lub Kasproviczu (a rozbiór poezyi tego drugiego liczę do arcydzieł Miriama) jak o Norwidzie lub Lemańskim; powtóre, że »sprężenie się uczucia« widnieje niekiedy w stylu aż boleśnie dla czytelnika, że wreszcie, lubo w zasadzie dba o czystość i poprawność języka, to przecież posługuje się takim mnóstwem wyrazów cudzoziemskich, wysłowienie trzeba nieraz nazwać wprost »makaronicznym«, co zresztą z »barokowym« smakiem zwykle chodzi w parze.

Zarzut, że większość utworów drukowanych w »Chimerze« to przekłady, odparł Miriam wyrokiem, że jestto zapatrywanie »dzikie«,

bo 1-o »rzec rzecz doskołała w doskonałym przekładzie nie jest ani swoja ani obca: jest doskonała, a to wystarczy«; 2-o musiał pracować nie tylko za siebie ale i za poprzedników, wydobywając z zapomnienia dzieła pierwszorzędnej wartości, nie tłumaczone na nasz język.

Zasługi zaznajomienia nas z wielu nieznanymi utworami nikt nie może odmówić Miriamowi, który od lat dwudziestu wytrwale i z wielkim pożytkiem na tem polu pracuje (w osobnych książkach, w »Życiu« warszawskiem, w »Świecie«, w »Życiu« krakowskim, (ale nie można jej przyznać samej »Chimerze«, bo już dawniejsze wydawnictwa prawie wszystkie nazwiska obce, w niej figurujące, zilustrowały czytelnikom polskim przekładami w mniejszym lub większym zakresie. A co do twierdzenia, że umiejsza o to, czy rzecz jaka jest swoja czy obca, byleby doskonałą była, to ona wynikliwie poprowadzić mogła do mniemania, że nam wystarczy tłumaczyć jeno doskonale rzeczy doskonałe — wbrew przestrodze Brodzińskiego: Nie bądźmy echem cudzoziemców, przestrodze, która nie zmierzała do przecięcia naszych stosunków z ogólną cywilizacją, ale do pobudzenia twórczości własnej!

Miriam sądzi, że z całego szeregu »potężnych dzieł twórczych« pomieszczonych w »Chimerze« jakieś nowe żywiące powiało, zda się, technienie, bo oto podnoszą się kwiaty wielkich talentów, które więdyły w zatęchłej atmosferze, bo oto nowe kiełkują i tryskają rośliny, niekiedy od pierwszej chwili zdumiewające jędrnością i podrywem wżwyż niepohamowanym« (VI. 478, 9).

Bylibyśmy bardzo szczęśliwi, gdyby przyszłość stwierdziła faktami to, co w poczuciu redaktora »Chimery« zarysowało się tak uroczo; obecnie możemy tylko powiedzieć, że choć wyraziliśmy kilka zarzutów już to co do poglądów, już to co do sposobu prowadzenia wydawnictwa, uznajemy przecież nadzwyczajne jego zalety w rzetelnie poważnem (naogół) uprawianiu sztuki, silnie zarysowując granice »między cacającymi się z sobą pseudo-indywidualnościami a naturami istotnie krzepkimi, samodzielnymi, świadomymi, że jeno najwyższy ich wykwit i sprężenie ma wagę istotną, nieprzemijającą; między tymi, co w sztuce widzą sługę swych żądź czy kaprysów, a tymi, co sztukę czezą, dla niej na Jakubowe drą się drabiny, dla niej spalają się zażywa« (VI. 478)

Zbyt zgorzkniałem jest oświadczenie Miriama, iż zaledwie »kilku ludzi« sympatycznie ku jego wydawnictwu się zwracało: mniemam, że było ich znacznie więcej; i zapewne, zaślepionymi jego wielbicielami zostać nie chcieli, lecz wszystko, co w nim prawdziwie piękne, czcili szczerze i gorąco, a za dostarczenie takiej karmi czuli wdzięczność dla rozumnego a niezmordowanego redaktora.

Piotr Chmielowski.

